

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

21

— Czy pani chce się przeziębicić śmiertelnie?
— Niech pana o to głowa nie boli! Dowiedzenia. Idę!

Zmierzała ku drzwiom, ale ją chwycił tak silnie za rękę, że syknęła z bólu.

— Pani nie pójdzie! — rzucił rozkazująco.
— Właśnie, że pójdę! Kto mi zabroni?!
— Ja!
— Jakim prawem?!
— Prawem znajomego pani i prawem rozsądnego człowieka! — powiedział zimno, ale nie puszczając jej ręki z gniołącego uścisku.

Energia Józia zaczynała słabnąć. Natomiast polegował się w niej strach przed opóźnieniem i wzbierało rozżalenie.

— Proszę pana, niech mnie pan nie zatrzymuje!... Ja muszę wracać zaraz, natychmiast!... — mówiła, a lzy zaczynały już drzeć w jej głosie.

— To niepodobna!... Nie mogę się zgodzić, żeby się pani narażała na pewną chorobę!...

— Mnie nic nie będzie!... Ja zdrowa jestem, zahartowana!... — prosiła już prawie z pokorną miną.

— Opowiadanie arabskie!

— Niel!... Doprawdy... to dla mnie nie pierwsza... Ja szłam już w nocy w deszcz... przez błoto i to w jesieni!... Nic mi się nie stało i teraz mi się nie stanie!...

— Pani o świekrę tak chodzi? — zapytał, patrząc jej wprost w oczy.

— A o kogóżby?... — szepnęła. — Panie Julianie, proszę mnie puścić!...

Pierwszy raz nazwała go po imieniu.

— Gdyby pan wiedział!... — powieki Józia nerwowo zamrużyły. — Ja muszę zaraz wracać!...

Łuniewski ujął teraz i drugą jej rękę, ale miękko, ostrożnie.

Obie te drobne rączki, które drżały w jego dłoniach, podniósł do ust i pocałował.

— Dobrze, biedne dziecko, dobrze!... Wrócimy zaraz, ale nie piechotą!... Przeziębici się maleństwu nie pozwolę!...

Puścił Józine ręce i uchylił drzwi od „piekarni“, w której zgromadzona była rodzina gospodarza.

— Proszę was, gosposiu, pozwólcie do nas, chcielibyśmy zapłacić i pożegnać się!...

— To na taką psotę państwo pójdzie? — zdziwiła się kobieta, wchodząc. — Ady się na piękne ozdeszczyło!...

— Musimy wracać, ale nie chciałbym, żeby siostra zmokła!... Mogłaby się przeziębici!...

— To się wie!...

— Macie wy konie, gosposiu?...

— Gdzie zaś, proszę pana, konie!... Miałam, ale mi jednego na „foszpan“ wzieni, a drugi padł!...

— Ale u sąsiadów przecież ktoś musi mieć konie?

— A jużci, że są tacy, co mają!...

— Ja chcę wynająć furę z parą koni do miasta. Zapłacę dobrze.

— Co też to panu w głowie!... — zawołała gospodyni. — Ktoby ta koniska gonił na taką chlupę!...

— Zapłacę, choćby sto koron!...

Gospodyni spojrzała zdumiona. Niedowierzanie odbiło się w jej oczach.

— Co pan powiadają?

— Mało jeszcze? Dam dwieście koron!... Maciel!...

Sięgnął do kieszeni, wydobyl portfel i podał ogłuszonej, ogłupiałej formalnie kobiecie dwa nowiutkie stokoronowe banknoty.

Gospodyni nie wiedziała, czy ma do czynienia z waryatem, czy też z jakimś królewiczem z bajki.

Nie mogła się zdobyć na odpowiedź i ręki po pieniądze nie wyciągała.

Józia była nie mniej od niej zdumiona i zaskoczona. Szeroko rozwarłymi żenicami wpatrywała się w twarz Łuniewskiego, niezdolna wyrzec słowa.

Nie mogło się jej to pomieścić w głowie, aby ten człowiek naprawdę dla jej kaprysu i z troskliwości o jej zdrowie chciał wyrzucić tyle pieniędzy.

■ Coś podobnego nigdy jeszcze jej się w życiu nie zdarzyło i nawet nie myślała, żeby się zdarzyć mogło.

Nieprzyzwyczajona była do tego, aby ktoś dla niej tak bez rachuby trwonil pieniądze.

— Dlaczego nie bierzecie pieniędzy?... Czy jeszcze mało?!

— Małko Boska, co też pan wyrabiał!... Ady do miasta nie więcej jak ćtery kilometry!... A ktoby miał sumienie teli pieniądza brać za taki kawaleczek!...

— Kiedy ja muszę mieć konie!...

— A to będą, będą, kie panu tak spieszo!... Zaraz idę do sąsiada, co tu wedle naszej chałupy siedzi!... Ale te drugie sto koron, to niech pan schowo!... A do reszty, to się już układajcie z furmanem!...

Gospodyni wyszła pospiesznie. Za chwilę słychać było jej głos, opowiadający coś bardzo prędko i bardzo żywo.

Potem umilkła i stuknęły drzwi.

Józia dopiero po odejściu gospodyni odzykała mowę.

— Panie Julianie!... — wyciągnęła do niego ręce.

— No co? — zapytał. Ręk jej nie pochwycił, ale najspokojniej przekładał jakieś zapisane kartki w portfelu.

— Pan dla mnie tyle... tyle pieniędzy!...

— E! Niechże pani tylko nie przesadza! Cóż to znowu za taka straszna suma!...

— Ależ pan musi być kolosalnie bogaty!... — zawołała z naiwną otwartością.

Uśmiechnął się.

— Kolosalnie bogaty, to znowu nie jestem, ale w każdym razie z każdym groszem liczyć się nie potrzebuję!... Zarabiam zresztą, mam dobrą posadę i nie jestem zależny ani od mamy, ani od taty, ani od cici!...

Józia splonęła rumieńcem. Zrozumiała docinek, a odeprzeć go nie umiała.

— Czy pan ma rodziców?

— Mam matkę, ale ona się do moich wydatków nie wtrąca!... Ale otóż i nasza gospośka wróciła!... Cóż, gosposiu, będą konie?

— Już, proszę pana, sąsiad zaprzęgo!... Powiedział, że nie weźmie, jak pięćdziesiąt koron.

— Pięknie. A teraz wy, gosposiu, pożyczycie nam jakiej grubej chustki i derki!... Dobrze?...

— Jużci, że pożyczę, bo trza panienkę jako osłonić!... A i pan okryć się musi!...

— O mnie to już mniejsza!...

Łuniewski hojnie zapłacił gospodyni za mleko. Chciał też zapłacić za wypożyczenie derki i chustki, ale na to się kobieta nie zgodziła.

— Dość mi pan za mleko dał!... Więcej nie wezmę!... Niechta panience służy!...

Józia nie wtrącała się do niczego, nie odzywała się wcale.

Miała minę dziewczynki bardzo grzecznej, bardzo posłusznej i bardzo rozczałonej.

— Zostańcie z Bogiem! — rzekł Julian, kiedy mu gospodyni oznajmiła, że wóz czeka.

— Z Bogiem, państwo.

Julian otulił Józję starannie od głowy do nóg ogromną, grubą, zimową chustką.

Kiedy wyszli, wśród mieszkańców chaty powstało żywe poruszenie. Posypały się uwagi i komentarze.

— To ci musi być sielny bogoczl!...

— Ale ma on też tę swoją siostrę za co, bo ma, że mu tych centusiów żal nie było!... By sobie ona ino nóżków nie zamoczyła!...

Siedemnastoletni wyrostek z rozwichrzoną, płową czupryną i zuchwałą miną wojennego wiejskiego „kawalira“, zachichotał:

— Siostra tam!... Już ta nie rodzona musi być, ino przyrodnio, albo i całkiem cioteczno!... A wy wierzyć, że siostra!...

— Cicho, Franek — zgromiła go matka — tobie zawdy zbezczesztwa w głowie, co się ich po kolegach nasłuchasz!...

— Już ja wam mówię, mamusiu!...

— Nie powiadaj byle czego, aby ci zaś ożór nie spuchł. Tak, czy tak, dobre jakieś ludzie i tyle!...

Na dworze zaczynało się już ściemniać. Deszcz padał wciąż. Przed chałupą utworzyła się mała kałuża deszczówki.

Józia przystanęła, ale zanim zdążyła się zastanowić, jak tę przeszkodę przeskoczy lub obejść, już ją Łuniewski, nie pytając o pozwolenie, pochwycił na ręce, jak dziecko.

Przebrnął w swoich złotych „amerykanach“ przez brudną wodę i śliskie błoto i doniósł ją na wóz, zdyszany, zmoczony deszczem, ale pogodnie uśmiechnięty.

— Dziękuję panu!... Jaki pan dobry!...

Łuniewski obejrzał siedzenie, czy dość wygodne, nasunął Józję chustkę głębiej na czoło i zawołał:

— Jedziemy, gospodarzu!

Konie ruszyły, rozchlapując błoto z pod kopyt.

— Pan nie ma żadnego okrycia!... Pan się przeziębici!...

— Głupstwo!... Ale pani wygodnie, ciepło?...

— Doskonale!... Dziękuję!... Bardzo pan dobry!... bardzo!...

— Pani Józio!...

Chciał mówić coś więcej, ale mu nagle, nieprzewidywane wzruszenie zdławiło głos w gardle!...

Wóz toczył się wartko gościńcem!... Na niebie chmury zaczynały się przecierać i deszcz padał coraz drobniejszy!...

— Czy ty wiesz, gdzie ona była?

— Nie wiem, mam — odpowiedziała Lola, siłąc się na naturalny głos.

Intuicyja zakochanej i zazdrosnej kobiety odgadła, że Józia była z Łuniewskim.

— I nie wiesz, czy sama była, czy z kim?

— Nie wiem.

— Pomimo takiego ulewnego deszczu, nie zmokła wcale. Musiała gdzieś przeczekać burzę.

— Prawdopodobnie — odpowiedziała córka, skubiąc frendzle obrusa.

— Wróciła już po ósmej!... Bezwstydna!... Bezczelna!... I to jest żona mojego syna!...

— Może jej mama zabronić tych spacerów!... Chyły uśmiech przewinął się po wargach pani Zarnickiej.

— Zabronić?... Bynajmniej nie mam zamiaru. Niech sobie chodzi, tylko trzeba wiedzieć, gdzie się włóczy i z kim!... Bo, że tam jest ktoś, to więcej niż pewne!...

— O jest!... — pomyślała Lola i przygryzła tak zębami wargę, że wystąpiła mała kropelka krwi.

— Czy mamusia napisze o tem wszystkiem Konradowi?

— Oczywiście. Już mu nawet coś nie coś pisałam. Niech wie, jaki dobry wybór zrobił!... I pomyśleć, że on mógł dostać Iżę Masłowską!...

— Podła jest ta Józia, podła!... — wyrzuciła ze siebie Lola gorączkowo.

— A widzisz i ty się nareszcie przekonała!... No, ale idź już spać.

Lola podniosła się z krzesła.

— Dobranoc mamusi!

— Czekajno jeszcze chwilę. Powiedz mi, jak ci się podoba Koszczyk?

— Podoba mi się — odpowiedziała apatycznie panienka.

— Hm!... hm!... nie taki bogaty, ale i nie biedny!... Nazwisko dobre!... stanowisko przyzwoite!... bardzo miły chłopak!... Prawda?...

— Owszem, bardzo miły. — Głos Loli stał się jeszcze bardziej senny i apatyczny.

— No, nie mówię, żeby tak konieczne!... ale zawsze!... Trochę wisus chłopak, ale można go ująć w karby!... W każdym razie życzę sobie, żebyś była dla niego grzeczną.

— Dobrze, mamu.

Dziewczyna podniosła rękę do czoła, jakby tam ból jakiś uczuła.

— Co? Głowa cię boli?... To pewnie z upału. Idź już spać. Dobranoc.

Lola nie poszła prosto do swojej sypialni, ale podkraǳła się cichutko pod zamknięte drzwi pokoju swojej bratowej.

Chwilę stała bez ruchu, nadsłuchując.

Cicho było. Nie posłyszala z wewnątrz żadnego szmeru.

Twarc dziewczyny ściągnęła się brzydkim, nerwowym kurczem.

— Spi już pewnie, albo marzy sobie o miłych przeżyciach dnia z nim!... Podła!... Jak ja jej nienawidzę!... Nienawidzę!...

Zafargała nią namiętna chęć, żeby wejść i zburzyć ten przyjemny nastrój, jaki podejrzawała u Józii!...

Zrobić jej taką awanturę, żeby popamiętała ta zmiya z oczami anioła!...

Już kładła rękę na klamce, ale zlekła się samej siebie i prędko, jakby ją kto gonił, uciekła do swego pokoju.

— — — — —

Lola myliła się, posadzając bratową o płochę marzenia i błogie uśmiechy zadowolonej próżności i kokieterii.

Gdyby rzeczywiście otworzyła drzwi jej pokoju, zdziwiłaby się niemało. Przekonałaby się